№ 41. Warszawa, dnia 30 Września (12 Października) 1878 roku



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Ś. P.

Leon Książę Sapieha.

Korespondencya ze Lwowa.

W wigilię otwarcia tegorocznej sessyi sejmu dnia 11 września umarł w Krasiczynie koło Przemyśla pierwszy marszałek krajowy (od r. 1861 do 1875), Leon Książę Sapieha. Już od trzech lat zmarły Książę Leon nie brał żadnego udziału w życiu publicznem z powodu chronicznej choroby i zgrzybiałego wieku (umarł w 76 roku życia), przed trzema laty odbywał długą klimatyczną kuracyę po za granicami kraju a nawet Europy, po powrocie do Galicyi nie był prawie widzialny we Lwowie, bo większą część roku spędzał w Krasiczynie. Mimo to wszystko śmierć jego sprawiła z całym kraju tak głębokie i bolesne wrażenie, jak gdyby w jego ręku ciągle spoczywały węzły i losy wszystkich spraw krajowych, jak gdyby jego bystry umysł i niezmordowana troskliwość obywatelska czuwały ciągle z bliska nad krajem i jego instytucyami. Jeżeli kto, to zmarły Książę Leon nie potrzebuje apelować do znanego przysłowia *de mortuis nil nisi bene*, to też wiadomość o jego zgonie wywołała ogólny żal, powszechną żałobę. Kto tak ogólne pozostawia po sobie uznanie, jak ś. p. ks. Leon, o tym bez szczegółowego wyliczania praw i czynów za życia dokonanych z góry powiedzieć można, że jego działalność obywatelska obejmowała wszystkie kierunki życia publicznego, że zasługi jego wyszły na korzyść całego społeczeństwa. Kto o ś. p. Leonie księciu Sapieże napisze wyczerpujące studyum biograficzne, ten zarazem napisze historyą Galicyi w jej ostatnim czterdziestoletnim okresie, mianowicie jej rozwoju publicznego i ekonomicznego, jej zakładów finansowych i humanitarnych. Tak ściśle splotło się nazwisko zmarłego z historyą Galicyi, że pod tym względem to samo powiedzieć można tylko o zmarłym przed trzema laty hr. Agenorze Gołuchowskim. Obaj ci mężowie stali długi czas na równorzędnych sobie i najwyższych w kraju stanowiskach, obaj kierowali losami kraju w chwili przejścia z apatycznej gnuśności do dzisiejszej pracy organicznej i obaj zostawili po sobie pamięć w całym szeregu instytucyi.

Było to prawdziwem dobrodziejstwem dla Galicyi, że zmarły książę Leon Sapieha osiedlił się w niej przed czterdziestu kilku laty. Wszystko leżało u nas wtedy odłogiem i wszystko trzeba było dopiero stwarzać. Książę Leon osiedlając się w Galicyi nie rozporządzał jeszcze milionowym majątkiem, posiadał, jak mówią, bardzo nawet skromną fortunę ale i to wystarczyło tak bystremu, w ekonomicznych przedsiewzięciach prawdziwie genialnemu umysłowi, do rozbudzenia życia, ruchu i pracy w kierunkach, które w owej epoce, pomimo zachęcających przykładów zagranicy, były zupełnie zamknięte dla naszego społeczeństwa.

Książę Leon Sapieha był twórcą całej naszej sieci kolejowej; która połączyła Galicyą z zachodem, niejako przeniosła ją na zachód a nadto otworzyła produkcyi krajowej niedostępne dotąd pole zbytu i podała nowe źródła środków egzystencyi dla całych klas ludności. Może dziwnem wyda się to, że tak wysoko podnosimy usługę ks. Leona Sapiehy na tem polu położoną. Gdzieindziej niezawodnie niewiele to już chęci znaczy, że ktoś zbudował kilka kolei. Jeżeli przedsiębierstwo nie powiodło się, twórca jego zostaje potępiony a jeżeli skutek odpowiedział oczekiwaniom, twórca uważany jest w najlepszym razie za dobrego spekulanta, który wzbogacił się bez cudzej krzywdy. Ale pamiętajmy o tem, że ks. Sapieha budował koieje wtedy, kiedy Galicya uchodziła za pustynię, niegodną ofiar pieniężnych, kiedy dla kapitalistów zagranicznych kraj nasz był nędzarzem nie zasługującym na żaden kredyt. Ks. Leon Sapieha już wtedy ceniony za granicą jako niepospolita zdolność finansowa, przełamał te trudności, utorował drogę tak trafnie, wytknął swemu projektowi tak wyborny kierunek, że znalazły się środki potrzebne do dzieła. Jako twórca sieci kolejowej jest ks. Leon Sapieha tem samem także twórcą całego postępu, jaki Galicya zrobiła w ostatnich czasach na polu handlowem i ekonomicznem. A postęp ten jest znakomity: jeżeli dotąd nie został należycie uznany, to stało się dla tego, że zawsze zapominamy o naszem ubóstwie i mierzymy wszystko skalą zagranicznych stosunków.

Ks. Leon Sapieha jest twórcą dwóch wielkich zakładów kredytowych, kasy oszczędności i towarzystwa kredytowego ziemskiego. Nie wspominamy o innych zakładach kredytowych które jemu zawdzięczają powstanie lub rozkwit, bo nie mogą iść w porównanie z powyżej wymienionemi. Kasa oszczędności i towarzystwo kredytowe ziemskie, są czemś więcej niż pospolitą spekulacyą, na zyski obliczoną; są to zakłady, które najkorzystniej oddziałały na nasze stosunki ekonomiczne, którémi zmarły wyświadczył dobrodziejstwo naszemu krajowi.

Niepodobna by było utrzymać się w szczupłych ramach korespondencyi, gdyby wypadło wyliczać tu wszystkie zakłady i prace księcia Leona Sapiehy na polu ekonomicznem. O dwóch jednak zakładach koniecznie jeszcze pomówić potrzeba, bo każdy z nich zapewnia twórcy swojemu wdzięczną pamięć u późniejszych pokoleń. Książę Leon Sapieha położył wielkie zasługi około podniesienia stosunków rolniczych stwarzają towarzystwo gospodarskie i szkołę rolniczą w Dublanach. Szkoła ta długo pozostawała pod zarządem i kierunkiem towarzystwa gospodarskiego i dopiero przed rokiem sejm nadał jej

charakter zakładu krajowego i objął ją w zarząd kraju. Odtąd szkoła ta ma zapewniony rozwój, na co rzeczywiście zasługiwała.

Ucząca się młodzież straciła w księciu Leonie Sapieże hojnego protektora, prawdziwego dobroczyńcę. Z własnych funduszów utworzył zmarły kilka stypendyów a nadto corocznie wysełał za granicę lub wspierał tam kilku młodych ludzi, którzy po ukończeniu nauk w kraju, pragnęli uzupełnić i rozszerzyć swój zakres wiedzy w zagranicznych akademiach. Wsparcia tego rodzaju oraz zapomogi dla biednych uczniów innych kategoryi, stanowiły stałą a wysoką rubrykę w corocznych budżetach zmarłego. Mało kto wie o tem a nikt nie zna prawdziwej kwoty wydatków tego rodzaju, bo jak każdy szlachetny dobroczyńca tak i książę Leon Sapieha nie szukał rozgłosu, krył się nawet ze swojemi dobremi uczynkami.

Dla wielu nędzarzy żebrzących i wstydzących się żebrać zgon ks. Leona Sapiehy byłby wyrokiem śmierci, gdyby nie pozostała rodzina, która nie zapomni o tych biedakach i w każdym kierunku uszanuje tradycye nieboszczyka. Na cele humanitarne szły z kasy ks. Leona nieraz znaczne kwoty, tysiące, w ubiegłym roku np. kilkanaście tysięcy ofiarował na założenie osobnego szpitala dla dzieci we Lwowie. Szpital ten wejdzie wkrótce w życie, bo budynek jest już pod dachem a czuwa nad nim ciągle dobroczynna ręka małżonki zmarłego, księżnej Jadwigi, która w dobroczynności zawsze współzawodniczyła ze zmarłym mężem. Jakie to dobrodziejstwo dla ludzkości cierpiącej, jaki to piękny upominek dla Lwowa i kraju! Brak osobnego szpitala dla dzieci zgubnie wpływał na stosunki śmiertelności. Niejedno życie ludzkie corocznie ocaleje dzięki nowemu zakładowi.

Działalność polityczna ś. p. ks. Leona jako pierwszego Marszałka krajowego, stawia go w rzędzie naszych najznakomitszych mężów stanu, ale o tem nie wspominamy tu nawet, bo nie wchodzi to w zakres waszego pisma.

Czyż trzeba potem wszystkiem dodawać, że zgon ks. Leona Sapiehy wywołał w całym kraju równe objawy żalu, że na pogrzeb do Krasiczyna spieszyły tysiące z całej Galicyi?

Zaraz po pogrzebie księcia Leona w Krasiczynie grono obywateli zastanowiło się nad tem, w jaki sposób wdzięczny kraj uczcić ma pamięć zmarłego. Pierwotnie postanowiono kupić ruiny zamku Sobieskich w Olesku, zrestaurować je i urządzić tam zakład humanitarny imienia Leona Sapiehy. Na tem zebraniu kilku obywateli ofiarowało w tym celu znaczne datki. Później jednak projekt ten został uchylony a natomiast stanęła uchwała, że ze składek publicznych w całym kraju zbieranych, utworzone zostaną we Lwowie kursa dla ubogich kandydatów stanu nauczycielskiego, którymi zmarły za życia zawsze się opiekował. W tych dniach komitet wyda odezwy i niezawodnie osiągnie cel swój w zupełności. Nasze społeczeństwo bowiem dowiodło już składkami na pomnik dla ś. p. Agenora hr. Gołuchowskiego, że okazanie wdzięczności za niepospolite zasługi uważa za święty swój obowiązek.

B. Ł.

Jam choć z roli, lecz mię boli!...

Chlebodajna gleba nasza,
Już dziesiątki setek lat,
Za rzucone jedno ziarno,
Czterdziestoma karmi świat!

Każdy prawy człowiek pracy,
Pókąd dobrą wolą włada—
Z ziemi żyje i w tej ziemi
Swe strudzone kości składa.

Dziękiż, dzięki matce ziemi,
Dzięki siostrze czarnej roli;
One karmią, one poją,
Z niemi nie zna człek niedoli!

Kiedy łany wyorane,
A zanosi się na deszcze—
Raźniej w pole z siewaczami,
Bo mię już przejmują dreszcze...

Kiedy łany już zasiane,
A w około czarno jeszcze...
Serce boli, dusza boli—
Kiedyż, kiedy pójdą deszcze?!

Poszły deszcze za deszczami,
To za wiele to za mało,
Było śniegu, słońca, mrozu—
Toć się wszystko przebolało!

Pękły lody, dużo wody—
Już po grobli, już po młynie...
Jak szeroko zajrzy oko—
Zewsząd woda płynie, płynie...

Pełno trwogi, pełno troski,
Lecz przyniósł bocian skrzydlaty
Wieść o takim wielkim zbiorze,
Jak w Egipcie był przed laty

Prawda, dużo chleba było!
Były jednak burze, deszcze,
Były grady, gąsienice,
Były jakieś żuczki jeszcze...

„Na frasunek dobry trunek!"
Więc człek winka się napije,
I zapomni wnet o wszystkiem,
Raźniej serce mu zabije.

Jednak w późnej już jesieni,
Kiedy zboże już sprzedane,
I ziemniaki wykopane,
A nowy się łan zieleni,

To, ze łzą wdzięczności w oku,
Człowiek pracy ręce składa
Do modlitwy i westchnąwszy,
W duchu sobie tak powiada:

Jam choć z roli, lecz mię boli...
Każdy grosz zapracowany,
Trwogą, bólem, niepokojem—
Toć nie jednej warte rany!

Dziękiż, dzięki matce ziemi,
Dzięki siostrze czarnej roli—
One karmią, one poją,
Z niemi nie zna człek niedoli!

Henryk Kwiatkowski.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXXIII.

Gawędka w bawaryi przeciągnęła się długo i stanęło wreszcie stanowczo na tem, że Prosper przyjmie Władysława u siebie, rozmówi się z nim, rozważy i potem przy wspólnej naradzie ostateczne wyda postanowienie. Zakłopotało to wielce biednego starca, niewiedzącego jaki ton nadać rozmowie, jak przyjąć w chudobie swej syna bogatej pańskiej rodziny, jak go tytułować, jak przemawiać.

— Panowie, mówił, tak są od nas zawsze daleko, tak nas nic nie znają, tak im się zdaje, że jesteśmy ludźmi innego jak oni gatunku, że jak przyjdzie spotkać się z jakim panem, to człowiek radby się pokazać jak najlepiej i przez to plącze się mu język i nie wie jak się ruszyć. Ja już dziś w głowę zachodzę, jak wybrnę z tego kłopotu, a cóż to dopiero będzie jutro.

Podzielając troskę Prospera, poradzono mu po różnych dowodzeniach, że najprzód pójdzie z Zosią do kościoła, po pomoc i natchnienie, a potem wzmożony na siłach, uważać będzie Władysława jak równego sobie, jak każdego młodego człowieka, któryby stanął przed nim z prośbą o rękę jego siostrzenicy.

— Bądź grzecznym panie Prosperze, mówiono mu, ale nie uniżonym broń Boże a nawet przeciwnie, poważnym i domagającym się uszanowania jak to ci pod każdym względem przynależy. Zapomnij że to panicz, tylko niech ci się zdaje że rozmawiasz z czeladnikiem stolarskim, tak będzie najlepiej.

— Żebyć to na prawdę był nim, szepnął Prosper z westchnieniem.

— Jest nim, przecieć się uczył stolarstwa i przy stolarstwie pokochał stolarczankę.

— To prawda.

— A więc widzisz panie Prosperze, jest i on stolarzem a jeżeli to prawda że mu ojciec nic dać nie chce, to w końcu będzie musiał chwycić się stolarstwa żeby z głodu nie umrzeć.

— Nie, odezwał się Marszałek, ten kanalia prędzej z głodu umrze jak praca pójdzie do jego rąk.

— To się tego dowiemy i zobaczymy co zrobić zamierza, odezwał się Magister, niech tylko ojciec Prosper nie straci przytomności, a jeżeli będzie jakoś miękko na sercu, to radzę palnąć dobry kielich anyżówki, a wszystko pójdzie jak po maśle. Ostro panie Prosperze a śmiało, dyabeł nie taki straszny jak go malują. Ta przysługa dla biednej panienki jest twoim obowiązkiem, tu idzie o jej los, o jej całą przyszłość, to ci dopomoże i zaręczam że wybrniesz z tej biedy pomyślnie.

Ostatnia uwaga najlepiej spodobała się Prosperowi: uznał jej słuszność i ważność swego obowiązku i zawierzył najzupełniej łasce Opatrzności. Rozweselił się też w końcu pogadanki, mieszał się do rozmowy, nawet dowcipkował, co mu się rzadko zdarzało, a gdy już około jedenastej nadzwykle przedłużone posiedzenie ukończyło się, Magister życząc dobrej nocy, powiedział że cieszy się, iż pan Prosper widocznie nabrał rezonu. Za powrotem do domu, Zosię zastał jeszcze nie śpiącą. Siedziała przy robocie zajęta jakimś stroikiem, a w mieszkaniu wszystko

było uporządkowane, wytarte, wykurzone, tak że jak Prosper przyjrzał się znanym sobie gratom, zdawało mu się że zostały odnowione tak świeciły się niezwykle. Prosper zatrzymał się na samym środku, przerzucał oczami po wszystkich kątach, kręcił głową, sięgał do tabakierki, a Zosia z ukosa rzucała na niego spojrzenie. Wreszcie postawił kij przy komodzie, kapelusz zawiesił na kołku i zwróciwszy się do dziewczęcia rzekł:

— Takeś wystroiła naszą izbinę i nasze graty że ich nie poznałem.

— Wytarłam je tylko z kurzu i nie robiąc zamieszania uporządkowałam, żeby wiedziano mój wuju, że masz choć młodą ale skrzętną gospodynię.

— Dobrze moje dziecko, podoba mi się twój zabieg, odrzekł Prosper i dodał z żartobliwą przymówką, tylko to dziwne że ci to pierwej nie przyszło do głowy.

Zosia zarumieniła się, spojrzała ukradkiem a ujrzawszy uśmiech na twarzy starca i niezwykłe ożywienie, podbiegła ku niemu i obejmując za szyję a pochylając głowę ku ramieniu, wyrzekła z czuciem:

— Mój wuju kochany, jakże jesteś dobrym dla mnie biednej sieroty.

Prosper rozrzewniony, przytulił ją do piersi:

— No, no, ty figlarko mała, rzekł, zdaj to wszystko na wolę Opatrzności, a jeżeli ten twój pan Władysław jest tak poczciwym jak powiadasz, to wesela się nie odrzekam...

Zosi łzy błysnęły i całując rękę starca długo jej od ust oderwać nie mogła. Na drugi dzień Zosia raniej wstała niż zwykle i zakupiwszy mleka, bułek i co było potrzebne do obiadu, pobiegła do sąsiadki wdowy, idącej zawsze na ranne nabożeństwo aby ją zastąpić w opiece nad dwojgiem dzieci i w zajęciu kuchennem. Na sumę bowiem szła Zosia z Prosperem, sąsiadka więc wywzajemniała się podobną przysługą w kuchni w czasie jej nieobecności. Wszystko to robiła tak zręcznie choć z pośpiechem, że zaledwie wuj skończył ranne pacierze już szklanka kawy stała gotowa na stoliku. Potem pobiegła pomiędzy klatki, oczyściła je, wysypała piaskiem, napełniła żłobki, odmieniła wodę i gwarząc na wzór Prospera, posuwała się ciągle od jednej do drugiej aby przypadkiem której nie pominąć. Wszystko to zajęło dość czasu, a gdy Prosper podsunął się aby dać właściwą karmę, królikom, świnkom morskim, wiewiórce i gołębiom, Zosia zajęła się porządkiem w kąciku sypialnym osłoniętym parawanem, wyrzuciła podłogę tatarakiem a dwie grubie jego wązki przystrojone kwiatkami ustawiła w rogach okna.

Prosper odsuwając wszystkie światowe myśli, aby nie ubliżały godności dnia świątecznego, przystąpił do wyboru jednej z książek do nabożeństwa których miał kilka: Zosia zdjęła sukienkę w szafie starannie zachowaną, przywdziała, ociągnęła, założyła kołnierzyk i mankieciki, przy warkoczykach za uszami poprawiła kokardki, włożyła kapelusik i wdziewając rękawiczki oświadczyła wujowi że jest zupełnie przygotowaną.

Zosia, jak wiemy, nie była pięknością, ale posiadała wdzięk niezmiernie ujmujący. Sukienka choć perkalowa na tle dzikiem w jasne zielone paski, prześlicznie uwydatniała zgrabną kibić dzieweczki: oczy jej promieniły blaskiem poranku majowego, buzia rumieniła się jak zorza, usta jak korale i cała skromnością układu podobną była do niezapominajki, która ukryta w cieniu prostej trawy zda się nadsłuchiwać szmeru strumienia.

Kiedy wchodzili do kościoła, Władysław znany nam dotąd po imieniu Bolesława, już stał w przedsionku. Minął go Prosper, jako na nieznajomego nie zwróciwszy nawet uwagi. Kiedy zbliżyła się Zosia, młodzi powitali się lekkim skinieniem głowy a dzieweczka maczając końce palcy w święconej wodzie, szepnęła?

— Wój pozwolił, i dziś czekamy na pana zaraz po nabożeństwie.

Prosper jako członek bractwa zasiadł w przednich ławkach po jednej stronie, Zosia po drugiej a Władysław tak starał się pomieścić, aby swą ukochaną ciągle mieć na oku. Nie było to zapewne zgodne z powagą miejsca, ale prawdziwie kochającemu trzeba wiele przebaczyć. Bywają tam wcale nie zakochani, którzy przychodzą polować oczami dla prostej zabawki nie myśląc zupełnie o miłości... Władysław nie widział nikogo, tylko Zosię.

Nabożeństwo rozpoczęte śpiewem bractwa szło swoim porządkiem. Prosper modlił się według obyczaju od młodości w niego wszczepionego. Grubym głosem śpiewając, wpadał pośpiesznie w głosy kobiet kończących ustęp dla nich przeznaczony. Gdy dzwonek przy zakrystyi ogłosił wyjście mszy wielkiej i lud padł na kolana, starzec włożył okulary i modlił się z książki pilnując starannie, aby z każdą modlitwą trafił na właściwą chwilę czynności kapłańskiej przy ołtarzu. Podczas kazania w książkę wsunął okulary i z rękami pobożnie złożonemi wsłuchał się w naukę głoszoną przez kapłana, nie zawsze rozumiejąc subtelnych wywodów i cytat z Pisma Ś-go. Gdy kapłan głos podniósł i zwracając się do ołtarzy wskazywał Chrystusa ukrzyżowanego lub wizerunki świętych, Prosper budził się z zamyślenia, wzdychał, chylił głowę i powtarzał słowa wymawiane przez kapłana. Czasem wprawdzie przypomniał sobie jakiego ptaka dziwnie w klatce napuszonego: czasem przemknął mu się w myśli Władysław, Zosia i kłopot przyjęcia panicza u siebie, ale wstrętne te przypadłości wypłaszał z oburzeniem jako grzeszne roztargnienie godne wyznania przed spowiednikiem.

Zosia z Władysławem modlili się także: myśli ich często zbiegały się, nic to jednak nie sprzeciwiało się podnoszeniu ich w wyżyny niezmierzone, tylko Zosia dopełniała tego z czuciem i rozrzewnieniem prawdziwej wiary, Władysław z korzeniem się przed nieznaną potęgą, co tyle cudów w około rozsiała i dała ludziom myśl rozważania ich, podziwiania z mocą przenoszącą wszystkie siły natury.

Prosper po ukończeniu nabożeństwa, ze schyloną głową, zastanowił się jeszcze nad swojem położeniem, pojmując że od spotkania jakie go czekało zależy może szczęście Zosi a nawet i jego własne. Błagalne szepcząc słowa o pomoc i natchnienie dla sieroty i siebie, starca stojącego nad grobem, gdy ostatnie podniósł westchnienie i otarł oczy zwilżone łzami, uczuł że duch jego ocnął się, skrzepił i jakby zbrojny rycerz nabrał odwagi do walki za szczęście tej, dla której miejsce ojca zastępował.

Kiedy lud zaczął wychodzić, Prosper także wyruszył z ławki a za nim Zosia i zaraz spostrzegła niezwykle wypogodzoną twarz wuja, na której igrał uśmiech wewnętrznego zadowolenia, że modlitwa nie była daremną. Władysław zatrzymał się przy wyjściu, ale z wielkiem zdziwieniem zobaczył Stanisława z Janem stojących w przedsionku i pilnie przypatrujących się wychodzącym. Nie chcąc aby go spostrzegli i rozmową nie zabrali czasu, zmieszał się z tłumem i zasłonięty kapeluszem wyszedł drugą stroną w ulicę, kryjąc się w sieni poblizkiego domu. Niebawem nadszedł Prosper a za nim Zosia. Władysław przysunął się do niej. Dzieweczka była pomieszana.

— Ah! jakże mi serce bije, rzekła z trwogą, tak się przestraszyłam....

— Cóż takiego się stało? zapytał młodzieniec zaniepokojony.

— Od pewnego czasu spostrzegam jakiegoś nie znanego mi młodego człowieka, wysokiego blondyna, którego zawsze spotykam jak tylko wyjdę z domu i choć nie widzę ale czuję jak mnie ściga swojem spojrzeniem. Raz zgubiłam przypadkiem rękawiczkę i jeszcze nie dojrzałam szkody a on już znalazł się przy mnie trzymając w ręku zgubę i z widoczną chęcią zawiązania rozmowy. Odsunęłam się szybko, natręt jednak nie porzucił mnie i już na Pradze przypadkiem dostrzegłam go znowu. Jak jestem w domu przechadza się około naszego sklepiku, raz nawet gdym sama była wszedł pod pozorem kupienia kanarka czy też innego ptaka, bo tak dziwnie był pomieszany, że nie umiał nawet zrozumiale opowiedzieć swego żądania. Na szczęście wuj przyszedł i wybawił mnie z kłopotu bom zaczęła przypuszczać czy to czasem nie waryat. Przez pewien czas nie widywałam go wcale i jużem się cieszyła że przecie odczepił się, gdy dziś znowu spotkałam go przy wyjściu z kościoła, jak stał ze znanym mi u panien Mikłockich Stanisławem...

— Ze Stanisławem? A to znam go dobrze tego ulicznego don Żuana, jest to Jan blizki krewny Stanisława i mogę cię zapewnić moja Zosiu, że nie jest waryatem. Brak mu może jakiej klepki której mu z pewnością Stanisław nie wprawi, ale jest młodzieńcem przyzwoitym, grzecznym, troszkę dziwakiem, zawsze jednak bez porównania lepszym jak jego mentor, dopóki go nie zepsuje.

— Dla czegóż jednak, jeźli jest takim jak powiadasz panie Władysławie, postępowanie jego względem mnie, nie jest ani grzecznem ani przyzwoitem?

— Przyznaję że jest takiem, ale więcej tu jest płochości, nierozwagi jak niegrzeczności. Dla młodzieży ze szkoły Stanisława, ściganie przechodzących panieniek, których buziak wpadł im w oczy, jest igraszką nic nie znaczącą. Ale bądź spokojną, pomówię z Janem a zaręczam cię że przestanie wycieczek które cię tak niepokoją...

— Oh! nie rób tego... boję się żebyście się nie poróżnili...

— Zostaw to już mnie moja Zosiu i bądź zupełnie spokojną, a lepiej powiedz mi co o wuju czy bardzo ucieszył się wiadomością że pragnę mu się przedstawić?

Odpowiedź widać trudna była dla dzieweczki, bo dopiero po pewnej chwili odrzekła z wahaniem:

— Nie wiem jak na to odpowiedzieć, ale zdaje mi się... że się zupełnie nie ucieszył ale przeciwnie przeraził...

— Jakto, przeraził? Nie rozumiem twego wyrażenia, odezwał się Władysław z wybuchem młodzieńczej porywczości. Zosia ujęła go za rękę:

— Uspokój się, rzekła, człowiekowi w wieku wuja przebaczyć należy, ale rzeczywiście przeraził się... sprawiło mi to wielką przykrość....

— A wiesz co że to zabawne.....

— O! nie, z pośpiechem przerwała Zosia, to nie było zabawne ale przerażające... przypuszczałam nawet że zupełnie wzbroni ci przystępu do siebie.....

— Mnie? On? zawołał młodzieniec z zadziwieniem podnosząc ramion. Zosia lekko westchnęła, zesmutniała ale nie dała żadnej odpowiedzi. Po upływie małej chwilki, Władysław uspokoił się.

— Nie dziw się moja Zosiu że wiadomość ta cokolwiek mnie poruszyła. Doznając tylu przykrości od własnej rodziny, nie przypuszczałem nigdy abym od twoich krewnych doświadczyć miał czegoś podobnego...

— Gdybyś znał mego wuja panie Władysławie, tobyś inaczej sprawę tę osądził, odrzekła Zosia i cichszym głosem dodała, jest on równie dumny jak twój ojciec i przekonałam się że postępek jakiego się względem mnie dopuszczono, nietylko go zmar-

twił ale i rozgniewał, jako ubliżający godności każdego choćby najbiedniejszego człowieka. Nie powiedział mi wprawdzie tego, alem się domyśliła....

— Toś się źle kochana panienko domyśliła, przerwał Władysław, przecie pod żadnym względem nie zasługuję aby się namyślano co do mojej osoby.

Zosia uczuła w sercu jakby lekki odcień niezadowolenia: Władysław także umilkł i szedł obok Zosi złoszcząc się troszkę na jakieś nowe szkopuły, których nietylko nie przewidywał, ale nawet nie przypuszczał aby powstać mogły.

Stosunek jego z ojcem Zosi i ułożone z nim małżeństwo, przyszło tak wolno i nieznacznie, tak się rozwijało przez lat kilka niepostrzeżenie, tak się wreszcie ojciec Zosi z Władysławem oswoił, że zdawało się młodym iż ich tu wola wszystko stanowiła, a ojciec stał na boku jedynie dla tego, żeby się cieszył ze szczęścia córki i potem pobłogosławił. Kiedy miłość ich stała się jawną i powstała stąd wielka burza, Władysław potajemnie zabiegał do mieszkania dworskiego stolarza i wspólnie z nim radził, co robić aby rzecz całą pomyślnie zakończyć. Był z nim na stopie niejako równości, dzielił obawy, robił przypuszczenia, ożywiał nadzieję, a choć pan majster pokiwał czasami głową, nigdy się jednak nie sprzeciwiał ułożonemu przez młodych zamiarowi a tymbardziej nie doradzał jego porzucenie.

Zdawało się zatem młodzieńcowi, że z Prosperem jako już tylko wujem Kasi, powtórzy się ta sama historya; że zapowiedzią przedstawienia uszczęśliwigo że go przyjmie z otwartemi rękami, usadowi na pierwszem miejscu i pokorny, onieśmielony robić będzie co mu każą. Zawód zdziwił go, nawet oburzył: nie zwrócił uwagi że ojciec Zosi był na dworskim chlebie, który mógł mu być w każdej chwili odebrany: Prosper zaś był człowiekiem wolnym i fawory pańskie nic go nie obchodziły. Spoglądając też na Prospera, mimowoli zadawał sobie pytanie co to za człowiek w którego głowie tak zakręciła duma czy... głupstwo, że może się wahać z przyjęciem w domu swoim młodzieńca jego stanowiska? Granatowa bekiesza starego marudy, kapelusz pilśniowy, laska w ręku z mosiężną rączką, buty z cholewami po kolana nie usprawiedliwiały tak wielkiego zuchwalstwa. Cóż więc mogło być jego przyczyną? Władysław na próżno się mozoląc nie mógł znaleźć odpowiedzi.

A jednak była ona łatwą, należało ją tylko poszukać na kartkach historyi, w owem zasadniczem urządzeniu gminy słowiańskiej, chronienia się z własną szkodą przyjęcia formy jednego nad sobą zwierzchnika, w której później tak pilnie odpychano dziedziczność, wykrzykując butnie: że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie i zdatny do korony, jak pan z panów zrodzony.

Kiedy Prosper skręcił do sieni domu w którym mieszkał, Władysław jakoś uporządkował cokolwiek wewnętrzne wzburzenie: ujrzawszy smutek rozlany na buzi Zosi zbliżył się do niej i ściskając rękę szepnął:

— Bądź spokojną moja Zosiu, dla ciebie nie ma ofiary którejbym nie poniósł.

Obawa stracenia tej którą tak niespodzianie odszukał, narażenia się ponownego na przebyte wypadki które o mało ich na zawsze nie rozłączyły, wstrząsnęła w nim do samego gruntu serca. Samo przypuszczenie czegoś podobnego już stało się ciosem boleści nie do zniesienia, cóż dopiero rzeczywistość tak straszna, nie dająca się może naprawić. Ukorzył się też w duchu i mając tylko Zosię na myśli, zdało się mu że tysiące rąk widzi wyciągniętych aby mu ją zabrać i skazać na niezem nie ułagodzoną tęsknotę. Zosia znając cokolwiek burzliwe usposobienie Władysława, usłyszawszy zapewnienie gotowości do poniesienia wszelkiej ofiary, skrzepiona w lękliwości, szepnęła cichaczem:

— Dziękuję ci... serdecznie dziękuje.

(d. c. n.)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów".)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Wsiadł do pierwszego powozu; za nim jechali jenerałowie Miramon i Mejia, każdy w oddzielnym powozie; eskorta złożona z 4000 żołnierzy, przeprowadziła ich przez miasto aż do Cerro de Las Campanas. Przez całą drogę stali w powozach, z podniesioną głową, z uśmiechem na ustach, ubrani starannie jakby jadąc na jakąś uroczystość. Lud zapełniający ulice, okna i dachy, przyglądał się z niemem podziwieniem. Zimna krew i spokój tego cesarza wiezionego na śmierć uderzał najobojętniejszych. Kobiety płakały skrycie. W twarzy cesarza nie było ani śladu gniewu lub obawy; jego piękne niebieskie oczy patrzyły dobrotliwie i jakby przebaczająco.

Na ostatnim zakręcie drogi, jenerał Mejia zbladł i chwycił się brzegu powozu; zobaczył żonę swoją z włosami rozrzuconemi bezładnie, machającą rękami; jak szalona latała wśród tłumu z nowonarodzonem dziecięciem przy piersi i błędnem okiem wpatrywała się w powóz unoszący ukochanego męża. Mejia ukrył twarz w dłonie i gorzko zapłakał.

Orszak zatrzymał się u stóp Cerro de Las Campanas; na plac egzekucyi wyznaczono miejsce w którem Maksymilian oddał się w niewolę.

Cesarz lekko wyskoczył z powozu, strzepał ręką kurz z sukni i idąc ku miejscu egzekucyi, każdemu z żołnierzy dał po uncyi złota.

— Celujcie dobrze, moi przyjaciele, nie mierzcie w twarz, strzelajcie w serce.

Jeden z żołnierzy płakał. Maksymilian zbliżył się do niego i rzekł podając mu swoją cygarniczkę srebrną ozdobioną drogiemi kamieniami:

— Przyjm ją ode mnie na pamiątkę, przyjacielu, cygarniczka ta należała do księcia szczęśliwszego od tego co ci ją daje.

Niższy oficer mający rozkaz zakomenderowania aby dano ognia, zbliżył się do cesarza prosząc aby mu przebaczył.

— Moje dziecię, odrzekł swobodnie Maksymilian, żołnierz winien zawsze spełniać wydane rozkazy i swój obowiązek.

Następnie zwrócił się do jenerałów Miramon i Mejia: „Chodźcie, dzielni towarzysze, niech was uściskam" a przycisnąwszy ich z kolei do piersi, dodał wskazując na niebo: „Za kilka minut spotkamy się tam, w lepszym świecie." Potem rzekł zwracając się do Miramon'a: „Honorowe miejsce należy się najdzielniejszemu; zajmij moje jenerale."

Widząc że Mejia jest nadzwyczaj zgnębiony widokiem obłąkanej żony, uścisnął dłoń jego mówiąc: „Bóg nie opuszcza tych co pozostają i cierpią, a opuszczających ten ziemski padół i cierpiących niesłusznie, wynagrodzi w przyszłem życiu."

Odgłos bębnów zwiastował że zbliża się fatalna chwila. Maksymilian postąpił parę kroków, wszedł na kamień i dźwięcznym głosem przemówił do żołnierzy i do tłumu:

„Meksykanie! przeznaczeniem jest ludzi mego stanu i mego rodu zapewniać szczęście ludów lub stać się ich męczennikiem. Nie przywłaszczyłem sobie władzy, nie przybyłem nielegalnie, samiście mnie zawezwali. Dozwólcie mi powiedzieć wam przed śmiercią że wszelkiemi siłami starałem się i pragnąłem waszego dobra. Meksykanie! oby krew moja była ostatnią jaką przelejecie, i oby Meksyk, nieszczęśliwa przybrana moja ojczyzna, mógł być szczęśliwy! Niech żyje Meksyk!..."

Gdy wrócił na swoje miejsce, sierżant zbliżył się do jenerałów Miramon'a i Mejia i kazał im się odwrócić: skazanym jako zdrajcom, miano strzelać w plecy.

— Do widzenia, moi drodzy przyjaciele, rzekł jeszcze Maksymilian, i pokazując ręką swe piersi, rzekł pewnym głosem: „Tu!„ poczem czekał nieruchomy jak posąg.

Gdy zakomenderowano: broń do góry! głuchy i groźny szmer rozległ się w części tłumu składającego się z Indyan, którzy polubili cesarza. Według ich tradycyj, ma przybyć kiedyś biały człowiek, wyzwolić ich i ocalić i mieli Maksymiliana za owego Messyasza. Oficerowie odwrócili się podnosząc szpady w górę i rozległa się komenda: „Pal! pal!"

— Niech żyje Meksyk! krzyknął Miramon.

— Karolino! Karolino! zawołał Maksymilian.

Strzały głos ich zagłuszyły.

Gdy dym się rozszedł, trzy ciała leżały na ziemi; Maksymilian ruszał się jeszcze, żołnierz jakiś raz jeszcze do niego strzelił. Złożono zwłoki do przygotowanych trumien, i pod tąż samą eskortą odwieziono do klasztoru Kapucynów.

— Teraz, gdy już cesarz nie żyje, chcemy godnie pochować zwłoki arcyksięcia austryackiego, rzekł pułkownik Miguel Palacios, któremu polecono czuwać nad zwłokami Maksymiliana. Zabalsamowano ciało i złożono trumnę w krypcie.

Daremnie ambasador rosyjski, baron Magnus, domagał się wydania zwłok nieszczęśliwego cesarza, i dopiero wice-admirał Tegetthof przybył w listopadzie 1867 roku, dopomnieć się o nie u rządu meksykańskiego. Tegetthof wymógł jednocześnie uwolnienie zostających jeszcze w niewoli żołnierzy austryackich oraz ułaskawienie księcia Salm-Salm także na śmierć skazanego.

Co do zdrajcy Lopez'a, ten zamiast przyobiecanych dwóch tysięcy uncyj złota, otrzymał tylko 7,000 piastrów. Dowiedziawszy się o niecnej jego zdradzie, żona nie chciała go widzieć, a gdy się stawił u jenerała Rincon Gallardo, prosić o przyjęcie do szeregów armii meksykańskiej, z której kiedyś był wypędzony, odebrał tę wzniosłą odpowiedź:

— Panie Lopez, jeżlibym miał wyznaczać ci miejsce, to chyba na jakiej gałęzi, z postronkiem na szyi.

Maksymilian zapisany będzie w kartach dziejowych jako zacny, szlachetny człowiek i jako król męczennik. Była to szlachetna natura, marzyciel jacy wyrabiają się niekiedy pod melancholicznem niebem jego ojczyzny — na ziemi czuł się jakby w niewłaściwym sobie żywiole, czuł się na niej jakby obcym.

IV.

Zwiedziwszy pałac zmarłego cesarza, chciałem poznać mieszkanie króla żywcem pogrzebanego w swej chorągwi. Zatem nazajutrz zamiast w dalszą udać się drogę, zboczyłem na kilka godzin do Goritz, gdzie hrabia Chambord postanowił spędzić zimę.

Od Monfalcone już nie widzimy morza i zapuszczamy się w opustoszałe pustynie Carst'u albo Carso, to jest kraju kamieni: góry sterczą nagie jak szkielety, ziemia martwa, gdzie rzucisz okiem widać tylko rozpadłe skały, stosy rozpadlin, jak gdybyśmy znajdowali się wśród zagasłych wulkanów i gór leżących w ruinach. Nieliczni mieszkańcy tej kamiennej strefy, byliby skazani na śmierć głodową, gdyby przezorna przyroda zaradzająca wszystkiemu, nie naniosła w rozpadliny i przepaści tych puszcz kamiennych, trochę ziemi roślinnej w której rosną niektóre jarzyny, zboże i winna latorośl, kryjące się tam przed wichrem. W niektórych z tych lejkowatych dolin rosną prawdziwe gaje a nawet i małe laski; inne są kolebką ładnych małych jezior, patrzących w niebo swem spokojnem i niebieskiem okiem.

Pod względem badań hydrograficznych, Carso jest najciekawszą okolicą z całej Europy; wapienny pokład gruntu wytwarza jakby niezmierzone jaskinie w których powstają źródła, wytryskują kaskady, rzeki mijają się i krzyżują. Odważni badacze, spuszczali się w te groty po pniach drzew i narysowali sieć tych podskalnych rzeczek, z których najznaczniejsza, Rekka, kończy swój bieg podziemny po nad Monfalcone i trzema otworami wybiega z łona skały. Starożytni tym połączonym źródłom nadali nazwę Timavo, i nazwali ją „matką Adryatyku.“

Nareszcie, jak gdyby nagła zmiana dekoracyi, w głębi doliny ukazuje się rzeka a na niej malowniczo zarzucone mosty, dalej drzewa, dzwonnice, to Goritz, czyli Goricya „Nicea austryacka“ wyłaniająca się jak zielona i gościnna wyspa, z łona tego morza fal skamieniałych, wśród których straszny bora wyje i szaleje. Miasto jest tak osłonione iż zimy nie znają tam wcale, i dla tego wiedeńscy doktorzy wysyłają tu przychodzących do zdrowia i chorych na piersi. Na ulicach spotyka się młode blade kobiety i mizernych młodzieńców; nic są oni tu pozbawieni rozrywek; jest teatr, tarcza gdzie wprawiają się strzelać do celu, sala gdzie się uczą gimnastyki i sala balowa. Jest także *casino* oficerskie i kółko katolickie. Są kawiarnie w których znajduje się wiedeński „*Kikeriki*“ portret Wiktora-Emmanuela i damy *nieceremonialne* palące bez przestanku cygara: są gazety włoskie występujące z opozycyą przeciw rządowi, co znamionuje jakiś cień życia politycznego.

Goricya niejednokrotnie była widownią manifestacyi włoskich. W Trydencie wszystkie szkoły pozostały włoskie, tu zaś z wielkiem niezadowolnieniem krajowców, tylko w niższych szkołach wykład jest włoski, w wyższych niemiecki.

Po południu ciepłe promienie słoneczne ogrzewają miasto; powozy mijają się po alejach nie zasypując piaskiem oczów przechodni i nie obryzgując ich błotem. Goricya tylko ze słyszenia wie że śnieg istnieje; deszcze nie padają przez poszanowanie dla reumatyzmów, a nieruchome barometry usychają z nudów.

Okolice miasta są prześliczne. Udałem się piechotą do klasztoru Castanovitza, leżącego na wzgórzu panującem nad okolicą. W tym skromnym klasztorze pochowany został Karol X.

Castanovitza jest to mała mieścina przypominająca miasteczka włoskie; kobiety siedzą na progach domów, bardzo często odbywając tak publicznie polowanie na dzieciach; żebracy napadają ze wszystkich stron, klnąc się na czem świat stoi że umierają z głodu.

Na kilka kroków przede mną szedł jakiś ksiądz; w jednej ręce trzymał kapelusz, w drugiej czerwoną chustkę od nosa, którą ocierał spocone czoło. Podbiegłem ku niemu.

— Czy tędy droga do klasztoru? zapytałem.

— Tak, przyjacielu chodź ze mną.

Zaczęliśmy iść razem.

— Pan nie jesteś tutejszy? zapytał.

— Nie, przybywam z Paryża.

— Ach! rzekł okropną niemiecką francuszczyzną, pan przybywasz z Paryża, powiedz mi więc, proszę, jak się miewa przyjaciel mój Spiegel i jego żona?

— Nie mam zaszczytu ich znać.

— Jakto? nie znasz ich pan?... a napisali mi że znają cały Paryż. Mieszkają przy Obserwatoryum Gwiazd, Spiegel ma narośl na nosie, a żona jego małe znamię na policzku.

— Bardzo żałuję ale nie widziałem ani narośli pana Spiegel ani znamienia jego żony; odrzekłem.

Księżyna odetchnął mocno, otarł pot kroplami spływający mu po twarzy, i rzekł nagle:

— A co też Mac-Mahon myśli o obecnem położeniu?

— A cóż myśli o niem hrabia Chambord? odrzekłem unikając odpowiedzi.

— Hrabia Chambord, nic nie mówi, tylko jako rozumny czeka końca; jak jabłko dojrzeje samo spadnie, a wtedy on je zje.

— Czy widujesz go ksiądz kiedy?

— Nigdy, mój przyjacielu; wikary mój bywa tam co tydzień, zażyć w pałacu dobrej tabaki; ja nie zażywam i jestem *publikaninem*, pocóżbym tam chodził.

— Zapewnie ksiądz dobrodziej chciałeś powiedzieć republikaninem?

— Tak, tak republikaninem idealistą. Pragnę republiki Platona i Chrystusa; apostołowie składali rząd konstytucyjny.

Doszliśmy tak rozmawiając na szczyt wzgórza.

— Oto masz pan domostwo hrabiego Chambord! zawołał nagle ksiądz, obracając mnie w stronę gdzie z pomiędzy drzew wyłaniał się dach czerwony.

— Pałac ten tam na wzgórzu, mówił dalej, należy do rodziny Blacas; kupili go oni od księżnej Belljoso.

Zwróciliśmy się ku klasztorowi; braciszek wyszedł naprzeciwko nas.

— Jeżli pan chcesz zwiedzić klasztor, ten braciszek odźwierny cię oprowadzi. Szczęśliwej drogi, bywaj pan zdrów; ja idę do piwnicy ochłodzić się trochę.

Braciszek powiedział że sam nie może służyć mi za przewodnika, ale jeżli się trochę zatrzymam jeden z Ojców oprowadzi mnie wszędzie.

Usiadłem pod drzewem i wśród otaczającej mnie ciszy zacząłem rozmyślać nad smutnym końcem Karola X.

Gdy rząd austryacki wyznaczył wygnańcowi królewskiemu Goryсyą za miejsce zamieszkania, była to bardzo jeszcze nędzna mieścina, bez widoków, bez dróg komunikacyjnych, prawie nieznana geografom. „Komuż przyszła do głowy tak nieszczęśliwa myśl aby mnie tu wysłać, zawołał Karol X przybywszy do Gorycyi; czuję że tu nie będę mógł żyć.“

Powiadają że gdy po raz pierwszy nieszczęśliwy monarcha ukazał się w Gorycyi w kościele, wychodząc ujrzał wszystkich mieszkańców w świątecznym stroju, stojących szeregiem; gdy się ukazał wszyscy w milczeniu odkryli głowy. Ta oznaka uszanowania tak rozrzewniła króla-wygnańca, iż łez powstrzymać nie mógł.

— Proszę pana! zawołał braciszek odźwierny.

Zaprowadził mnie do zakrystyi, gdzie oczekiwał na mnie młody zakonnik z latarnią w ręku.

Szedłszy ze wschodów, przeszliśmy przez ogród i stanęliśmy u drzwi do grobów. Przewodnik mój wszedł pod grobowe sklepienia, ja postępowałem za nim. Zbliżył latarnię do ściany i mogłem czytać na żelaznych tabliczkach napisy grobowe księcia de Blacas, regentki księżnej Parmy, księżnej francuzkiej Maryi-Teresy, córki Ludwika XVI, i księcia Ludwika, starszego syna Karola X zmarłego w Gorycyi 3 lipca 1844 roku. Ciało króla spoczywa pod ołtarzem N. Panny z góry Karmelu.

Biedne zwłoki, jakże ciężką musi im być ta obca ziemia, w której są pogrzebane jak rozbite łodzie w piaskach odległych mórz!

Wyszedłszy z Castanovizza, udałem się wprost do pałacu hrabiego Chambord. Drzwi kraty ogrodowej były otwarte; duże jakieś psisko zbliżyło się do mnie poufale, bynajmniej nie broniąc mi wejścia.

Jest to dom stary, ciężki, czworokątny, niezgrabny jak koszary, a w tej chwili do koła tak głębokie zalegało milczenie, iż mimowolnie przyszły mi na myśl bajki o zaczarowanych, w śnie pogrążonych zamkach.

Nie ma tu jak w Froshdorf danieli i jeleni błąkających się pod drzewami lub spoczywających na murawie. Otwarte drzwi prowadziły na wewnętrzny dziedziniec. Daremnie upatrywałem budki odźwiernego, ale nareszcie zobaczyłem dzwonek. Lokaj przyszedł otworzyć i prosił abym się udał do pana de Floresta, przybocznego sekretarza hrabiego Chambord.

— Czy masz pan listy polecające od naszych przyjaciół we Francyi? zapytał pan de Floresta.

— Nie panie, nie mam listów polecających, gdyż o nic prosić nie przychodzę; tylko zwiedziłem mieszkanie pana Bismarck, widziałem pana von Moltke, i chciałbym widzieć hrabiego de Chambord.

— Dobrze, za godzinę będziesz pan zawiadomiony czy hrabia raczy pana przyjąć

Pan de Floresta zapytał mnie w którym hotelu mieszkam. Niestety! widać tak źle wybrałem iż nie wiedział nawet o istnieniu tego w którym stanąłem.

Wróciłem do Gorycyi. Właśnie kończyłem śniadanie, gdy wszedł mały człowieczyna owinięty w czarny płaszcz, w śpiczastym kapeluszu na głowie, i zbliżywszy się na palcach, oddał mi wielką kopertę pod moim adresem. Pan de Floresta zawiadamiał abym przybył o drugiej.

Miałem z sobą czarny frak, ale brakło mi odpowiednich rękawiczek — a wtedy nie wiedziałem jeszcze że można się bez nich obejść. Objechałem całe miasto szukając tych nieszczęsnych rękawiczek, i stawiłem się odpowiednio ubrany o oznaczonej godzinie.

Minąwszy schody spotkałem pana de Floresta, który widać nie spodziewał się tej zmiany toalety; wprowadził mnie do obszernego pokoju, będącego zarazem jakby salonem i przedpokojem. W parę minut później podwójne drzwi otwarły się na rozcież i znalazłem się w obec hrabiego Chambord. Wszedłem, drzwi zamknęły się za mną.

— Wasza Książęca mość wie że jestem republikaninem, rzekłem do księcia Bordeax, lecz je-

źli nie mogę złożyć hołdu królowi, składam go człowiekowi.

— Lubię bardzo rodzinny kraj pana, Szwajcaryę, odrzekł książę nader uprzejmie, mam tam doskonałych przyjaciół. Znakomite rody d'Affry, Diesbach, Fegely, Maillardoz, Montepach, Gottrau, Roccard, d'Alt i tyle innych znanych panu służyli mojej rodzinie i przelewali krew za Francyą.

Prosił mnie siedzieć ale stałem patrząc na niego. Nie wierzyłem własnym oczom. Więc ten człowiek z twarzą tak sympatyczną, otwartą, uśmiechniętą, z pięknem czołem i łagodnem głębokiem spojrzeniem, jest to ów hrabia Chambord, którego dzienniki przedstawiają pod śmieszną postacią jakiegoś Budhy legitymizmu.

Oczy szczególniej zwracały moją uwagę; niepodobna opisać ich pięknego, pełnego szczerości spojrzenia, stałego, pewnego, które wie gdzie jest i gdzie zmierza, i nic nie zdoła zwrócić go z prostej linii. Takiemi oczami patrzy się tylko w jasność. Jest to piękne spojrzenie uczciwego człowieka.

Książę Bordeaux nosi brodę à la Henryk IV, naddziad jego, do którego pod wielu względami jest podobny. Nos przypomina ród jego; głos miły jak muzyka; w ustach odbija się dowcip gallikański; jest wzrostu średniego, nieco otyły, ale zdrów i silny.

Rozmawialiśmy ze dwadzieścia minut. Obcy walkom stronnictw szarpiących Francyą, obywatel neutralnego kraju, uważałem że nie wypada mi wkraczać w dziedzinę polityki: mówiliśmy więc o literaturze, o sztukach pięknych i trochę o Niemczech — o tem krwawem widmie wszędzie stojącem ci na oczach.

Hrabia Chambord zna i wie wszystko; zna książki które wyszły i wie jakie wyjść mają; wie jakie obrazy przodowały w Solonie; jaka sztuka ma powodzenie w Paryżu. Z dawnych autorów najlepiej lubi Montaigne'a, Molière'a i panią de Sévigné, która zdaje się przekazała mu swój styl niezrównany, bo ten książę jest pisarzem w całem słowa tego znaczeniu. *Listy* jego pozostaną na zawsze wzorem formy i myśli.

Od lat dwudziestu głównym przedmiotem jego rozmyślań i badań jest kwestya społeczna; uważa on że jest to olbrzymie zadanie stawione do rozwiązania blizkiej przyszłości, i że kryzys najstraszniejsza będzie w Niemczech, gdzie ideje socyalistyczne rozszerzają się jak wzburzone fale. Hrabia Chambord jest stronnikiem dobrowolnych i wolnych stowarzyszeń robotników, pragnie obrony ich wspólnych interesów i postanowienia syndykatów, obowiązanych regulować po przyjacielsku spory odnoszące się do warunków pracy i zarobnego.

Sprawy wojskowe zarówno nie są mu obce; lubi żołnierzy i ma w sobie rycerskiego ducha. „Jakież to byłoby szczęście rzekł raz do towarzyszącego mu konno pana de la Rochefoucauld — w razie gdyby wojna stała się nieuniknioną, szarżować na czele francuzkiego pułku.“ O armii niemieckiej mówi jakby stary, doświadczony pruski jenerał.

Komu nie jest obcy postęp objawiający się w literaturze, naukach i sztukach, choćby był człowiekiem starej daty, odnawia się i mimowolnie przejmuje zasady tegoczesne. To też już w roku 1853 hrabia Chambord pisał do księcia de Levis: „Zarówno jak wszystkim Francuzom, drogie mi są wielkie i święte zasady uznane przez Francyą i przez wszystkie oświecone chrześciańskie społeczeństwa; równość w obliczu prawa, wolność sumienia, możność dojścia każdemu zasługującemu na to do wszelkich urzędów, zaszczytów i przywilei społecznych.“

Kto tak pisze i tak myśli, jest tolerującym i postępowym i zasługuje na ogólny szacunek.

Zanim opuszczę pałac hrabiego Chambord, jeszcze słówko o jego apartamentach i sposobie życia jego mieszkańca.

Umeblowanie bynajmniej nie królewskie: wygodne stare kanapy i stare fotele, podobne do dawnej służby wiernie podzielającej losy pana. Wszystko tu ma jakąś patryarchalną minę. Żadnych marmurów, żadnych złoceń, mało obrazów, kilkanaście rynsztunków broni i przybory myśliwskie. Hrabia Chambord jest dotąd zapalonym myśliwym, pomimo że w roku 1841, w Kirchberg spadł z konia na polowaniu i złamał nogę. Powiadano mi że jedyną ozdobą sypialnego jego pokoju, są dwa wazony przysłane mu przez robotników paryzkich. W ramce za szkłem mieści się promień włosów matki, a naprzeciw niej portret ojca, księcia Berry w naturalnej wielkości.

Niezmordowany w pracy książę wstaje nadzwyczaj rano; gabinet jego służy mu zarazem za pracownię i za bibliotekę, gdyż nietylko jest znakomitym pisarzem ale i zdolnym malarzem. Zasiadłszy przed wielkim mahoniowym stołem, założonym książkami i sprawozdaniami, hrabia pisze bez przestanku aż do śniadania, to jest do godziny dwunastej, poczem wyjeżdża zazwyczaj z żoną w zamkniętym powozie, zaprzężonym w parę koni. Obiad podają o godzinie szóstej; kończy się zaś o trzy kwadranse na siódmą, poczem wszyscy przechodzą do salonu, gdzie zajmują się rozmową i muzyką.

V.

Wypadało mi nocować w Nabressina, w małej stacyi między Duino i Miramar, prawie na szczycie Garstu. Noc była zupełna gdy dowiózł mnie tu ostatni pociąg kolei z Gorycyi. Chłopiec z pochodnią zaprowadził mnie z restauracyi na dworcu kolei, do małego domku, którego drzwi roztwarły się dopiero po długich przemawianiach. Stara, chuda kobieta, z zżółkłą zmarszczoną twarzą, z oczami świecącemi się jak węgle, z nosem podobnym do dzioba sowy, istna czarownica z bajek Hoffmann'a, odemknęła nieco drzwi, wyciągnęła rękę aby wziąść mój worek podróżny i zaprosiła żebym wszedł do pokoju. Wprowadziła mnie do małej izdebki w której paliła się świeczka łojowa i zamknęła mnie na klucz, zapewnie obawiając się abym nie uciekł zabrawszy pościel i zegar. Otworzyłem okno chcąc zobaczyć gdzie jestem: rozległ się odgłos łańcuchów i zażarte ujadanie psa. Tak było ciemno iż nic widzieć nie mogłem; nie było co robić, trzeba było położyć się z myślą że jestem więźniem starej czarownicy.

Przed świtem zapukała do moich drzwi, wołając żebym wstawał jeźli nie chcę się spóźnić na pociąg odchodzący o szóstej. Zerwałem się z łóżka z takim pośpiechem jak Łazarz z grobu; przed wschodami stał już chłopiec z latarnią, ten sam co mnie tu przyprowadził wczoraj i poszliśmy na dworzec.

Miałem jeszcze czas zjeść śniadanie a w chwili odjazdu słońce po raz ostatni oświetliło dla moich oczu wspaniałą perspektywę Adryatyku, z jego zielonemi wyspami i złocistą mgłą.

Gdy morze znika okolica staje się monotonną i przybiera pozór Arabii Skalistej, a droga tak stroma i ciężka jakby prowadząca do raju. Wzdłuż drogi wznoszą się wysokie baryery z desek, dla osłonienia pociągu od wichrów i zasp śniegowych.

Istrya jest krainą sprzeczności. Tu wznoszą się nagie, opustoszałe gór szczyty, tam rozkoszne doliny pokryte winną latoroślą i ocienione drzewami oliwnemi i mirtowemi, a dalej roztaczają się ogrody pełne fig i pomarańcz. W tej porze kiedy nasze z liści ogołocone drzewa drżą pokryte zmarzłym śniegiem, drzewa cytrynowe pokrywają się tu śniegiem wonnego kwiecia; groszek, fasolę, bob, wśród zimy zbierają tu na polach; olbrzymia flora podzwrotnikowa rozwija się w Pola. Fauna należy tu do najbogatszych w Europie; znajduje się tu niezliczona ilość żółwi, kun i lisów; na górach napotykają niedźwiedzi.

Po miastach noszą zwyczajny ubiór, ale nic pierwotniejszego i oryginalniejszego jak ubiór wieśniaków, utkany z grubej wełny ich owiec. Sami także robią swoje obuwie, złożone z rzemienia i trzyma jące się na nodze za pomocą pasków skórzanych. W portach istryjskich wybrzeży, obok wspaniałych okrętów widać pirogi wydrążone w pniach drzew na sposób indyjski.

Pola, ten Toulon austryacki, dosięgła niezwykłego rozwoju; panuje tam nadzwyczajna czynność, przynosząca zaszczyt rozporządzeniom admiralicyi cesarstwa.

Obecnie według autentycznych danych, wojenna flota Austro-Węgier składa się: okrętów pancernych 11; fregat 2; korwet 9; avizo parowych 2; yachtów parowych 2; monitorów 2. Wszystkie te statki mierzą razem 84,120 beczek o sile 14,330; mają 279 dział dużego kalibru, 70 mniejszych, 4,793 karabinów, 1,772 rewolwerów, 2,163 pałaszy. Osada wynosi 9,050 ludzi. Oprócz tego cztery okręty są na ukończeniu i admiralicya posiada znaczną liczbę mniejszych statków, mogących służyć podczas wojny.

W roku 1866 flota austryacka w bardzo opłakanym znajdowała się stanie; okręta wojenne były to wielkie statki drewniane, ciężkie do manewrowania, bez ostróg, uzbrojone staroświeckiemi działami, nie mogącemi pancernikom nic zaszkodzić. Ale z tak odważnymi i dzielnymi majtkami jakimi są Dalmaci i Istryoci, Tegethof wiele dokazać potrafił. Uczył ich we dnie i w nocy, wprawiał w strzelanie z dział i opancerzowanie okrętów, umiał przelać w nich swój zapał i ufność w siebie: „Z takimi jacy oni dziś są spodziewam się czegoś dokazać i obejmuję dowództwo nad flotą — napisał Tegethof do rządu.“

Gdy eskadra odpłynęła od brzegów, wszyscy byli niewymownie przerażeni; szeptano sobie złowrogie wróżby: „Płyną po pewną śmierć“ stare kobieciny żegnały się i zaczynały odmawiać modlitwy za zmarłych.

Admirał Persano żeglował dumnie po Adryatyku na swej pancernej fregacie, ze swoją piękną flotą, stanowiącą dla niego jakby królewski orszak; mówiono że przez szyderstwo kazał zatknąć miotłę na szczycie wielkiego masztu, dla okazania jak łatwe ma do spełnienia zadanie, oraz że jednym strzałem swoich dział Armstrong'a, zatopi całą austryacką eskadrę.

Tegethof zarzucił kotwicę w przystani Fasana, na północ Pola, ponieważ był uprzedzony że Włosi zamierzają zająć Lissę, największą z wysp dalmackich, liczy ona około 5,000 mieszkańców i uchodzi za Maltę Adryatyku.

O świcie dnia 20 lipca, *Piemonte* wysadził na ląd batalion piechoty marynarskiej, *Terrible* i *Varese* zaczęły ostrzeliwać forty. O ósmej rano, morze choć nieco wzburzone, jaśniało od słonecznych promieni; wybrzeża rysowały się wyraźnie, tu

i owdzie dym unoszący się po nad bateryami, wił się w powietrzu i niknął w podniebnych przestrzeniach.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Hygiena czyli nauka o zabezpieczeniu zdrowia człowieka, zdobywa coraz szersze koło zwolenników; z natury swej jest ona przeważnie opartą na doświadczeniu, zbiorowe zatem prace i spostrzeżenia były nadzwyczajnie pożądane, i to właśnie dało myśl zwoływania kongresów międzynarodowych. Pierwsze zebranie tego rodzaju miało miejsce w Brukseli w roku 1876, a obecnie w Paryżu odbyły się posiedzenia tyle użytecznego towarzystwa.

Z licznych kongresów jakie miały tu miejsce z powodu wystawy, kongres hygieniczny był najliczniejszy; zgromadził tysiąc pięćdziesiąt członków podzielonych prawie na dwie równe połowy, bo było pięćset dwudziestu dwóch Francuzów i pięćset dwudziestu ośmiu przedstawicieli innych narodowości. O przebiegu prac uczynimy sprawozdanie pobieżne, uwydatniając jedynie stawione pytania wzbudzające ogólne zajęcie.

Przedewszystkiem rozprawy dotyczyły przedmiotu pierwszorzędnej wagi: zmniejszenia śmiertelności pomiędzy nowo-narodzonemi dziećmi. Niemowlęta zamierają w stosunku coraz bardziej zwiększającym się, co powinno zwrócić uwagę tak władz, jakoteż stowarzyszeń prywatnych, aby wykorzenić przyczynę złego w samym zarodzie. Francya traci więcej dzieci aniżeli Norwegia, Szwecya, Dania i Belgia, ale mniej od Hiszpanii, Prus, Włoch, Austryi, Szwajcaryi, Bawaryi i Rossyi z Polską. Takie przynajmniej wnioski można wyprowadzić ze sprawozdań statystycznych. Okoliczność powyższa ulegnie ponownemu badaniu, w czasie przyszłego kongresu mającego się odbyć za lat dwa w Turynie; wzrost bowiem ludności ma ścisły związek ze wzrostem i pomyślnością narodów. Ludność czyli społeczność, mająca uledz rozkładowi, zazwyczaj nie powiększa ogólnej swej cyfry i ta albo staje się niemal nieruchomą albo też ulega stopniowemu zmniejszaniu. Od lat kilkunastu ludność francuzka ani się nie powiększa ani nie zmniejsza, co nadzwyczajnie zaniepokoiło polityków i publicystów tutejszych. Badaną jest troskliwie przyczyna tego stanu, obmyślano rozmaite środki zaradcze i opracowano już w tej mierze wiele wskazówek pożytecznych. W czasie kongresu paryzkiego doktór Bergeron odczytał bardzo ciekawe sprawozdania ze swoich spostrzeżeń w tym przedmiocie.

Wedle niego złe mamki są ważną przyczyną złego; w okolicach opuszczonych przez kobiety zajmujące się tym przemysłem, śmiertelność pomiędzy niemowlętami dochodzi do przerażającej cyfry 90%; dzieci wysyłane z Paryża na wsie umierają w stosunku 75%: są to proste następstwa nędzy i zaniedbania; bo młode latorośle rodzin zamożnych umierają zaledwo w stosunku 7%. Wedle ogólnie przyjętego zdania na kongresie, lepsze jest sztuczne karmienie dzieci za pośrednictwem tak zwanych *biberonów*, aniżeli powierzanie niemowląt mamkom niedbałym posiadającym pokarm niezdrowy lub niewystarczający.

Drugie spostrzeżenie p. Bergeron przyjęte przez kongres, dotyczy obowiązku przedstawiania dzieci w kancelaryi urzędnika stanu cywilnego celem spisania aktu urodzenia. Przymusowe to bowiem przesiedlanie niemowląt stało się powodem zwiększonej śmiertelności. Dzięki usiłowaniom doktora Loir, w niektórych większych miejscowościach od lat kilku urzędnicy obowiązani są zejść do mieszkań nowo narodzonych, aby naocznie sprawdzić przybycie nowego w przyszłości obywatela. Pan Bergeron życzyłby sobie, aby wyjątkowy ten zwyczaj stał się ogólnym a zamieniony w prawo zastosowanym był już nietylko do miast ale i do wiosek. W czasie narad zwrócono również uwagę na szkodliwe następstwa późno szczepionej ospy, co dozwala tyle zgubnej chorobie rozwijać się w sposób naturalny i szerzyć zarazę już nietylko pomiędzy dziećmi ale i pomiędzy starszemi.

W ostatku pan Bergeron udowadnia większą śmiertelność pomiędzy dziećmi nieprawemi aniżeli prawemi i wykazuje konieczną potrzebę przywrócenia żłobków dozwalających niedbałym lub nieszczęśliwym rodzicom, a po większej części biednej opuszczonej matce, złożyć potajemnie dziecko w szpitalu bez żadnych formalności. Podniesiono również przedmiot wielkiej wagi, możności poszukiwania ojcowstwa w pewnych prawem oznaczonych warunkach. Wszystkie uwagi powyż skreślone są wielkiego znaczenia, choćby tylko ze względu na ścisły stosunek żywotności narodu, ze wzrostem lub zmniejszaniem się jego ludności.

W dalszym ciągu obrad kongres zajmował się rozbiorem przedmiotu dotyczącego nadawania sztucznej barwy winu, jakoteż i niektórym artykułom żywności. Od czasu powiększonych podatków we Francyi przemysłowcy dolewają wody do wina, a następnie nadają sztuczny kolor za pośrednictwem rozmaitych wyciągów ze smoły i węgla ziemnego. Wino przyrządzone w ten sposób obrzydliwe dla smaku, jest jeszcze wedle zapewnienia doktorskiego szkodliwem dla zdrowia. Ostatnie jednak twierdzenie nie jest jeszcze sprawdzonem ostatecznie, bo jakkolwiek wykryto arszenik w niektórych ciałach używanych do kolorowania wina, ale w nadzwyczajnie drobnej ilości; trzebaby bardzo wiele pić sfałszowanego wina i bardzo długo, aby doznać szkodliwego wpływu na zdrowie.

Farbowanie zatem wina większy ma stosunek z uczciwością handlową aniżeli z hygieną.

Podobneż określenie można zrobić co do konserw którym przywracany jest sztucznie kolor zielony.

Młody groszek naprzykład przez zeschnięcie nabiera żółtej barwy; uczeni więc kucharze nadawali mu kolor pierwotny gotując w wodzie zaprawionej niewielką ilością sulfatu miedzi, co w ogóle robią wszyscy fabrykanci konserw. Czy oddziałują szkodliwie na zdrowie? W obecnym stanie nauki, Chemia odpowiada stanowczo w sposób przeczący. Sole miedzi w drobnej ilości nie są szkodliwe dla ludzi; wprost przeciwnie wyobrażeniom gospodyń polskich, niepobielane naczynia miedziane nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa, co stwierdzonem zostało praktycznie przez doktora Galipp, który rok cały jadł pokarmy gotowane w rądlu miedzianym niepobielanym. Zresztą miedź znajduje się w tkankach naszego ciała, wprowadzana tam za pośrednictwem pokarmów będących najwięcej w użyciu: mąki, mięsa, kawy i czekolady. Analiza groszku z nadaną sztucznie zielonością wykazała mniej miedzi aniżeli w zbożu i czekoladzie.

Nadawanie więc koloru zielonego groszkowi nie jest szkodliwem dla zdrowia, aby tylko ilość użytego sulfatu miedzi nie była przesadzoną, co często ma miejsce w Niemczech przy urządzaniu konserw. Również jest ważną rzeczą aby sulfat miedzi nie był zastąpionym innem jakiem szkodliwszem ciałem.

Jakkolwiek każdemu zgromadzeniu uczonych wypada wierzyć bezwarunkowo, twierdzenie jednak co do nieszkodliwości niepobielanych rądli nie trafia do mego przekonania. Na przeciw doświadczeniu pana Galipp, możnaby sto innych przedstawić wprost przeciwnych.

Jeżeli jednak miedź w małej ilości nie wywiera złego wpływu na organizm człowieka, to za to ołów jest niezaprzeczoną trucizną a mimo tego używanym jest często przy konserwach w takiej ilości, że może spowodować po pewnym przeciągu czasu powolne zatrucie.

Z kolei podniesioną była rzecz dotycząca ścieków nieczystości miejskich do rzek, co często było przyczyną zatrucia wody. Na Sekwanie w miejscu odpływu kanałów, od czasu do czasu mnóstwo ryb nieżywych pływających na powierzchni wody dowodzi tego najlepiej. Nieczyste strumienie i rzeki przenoszą z największą łatwością rozmaitego rodzaju zarody chorób a szczególniej tyfus i cholerę. Niebezpieczeństwo było wielkie, środek jednak zaradczy nader trudny do znalezienia. Chciano filtrować ścieki przed ich spłynięciem do rzek, ale środek ten okazał się niepraktycznym, bo nie oczyszczał dostatecznie wody, co również można zastosować do rozmaitych środków chemicznych mających niby niszczyć szkodliwe zarody. Komisye więc w tym celu ustanowione tak francuzkie jak angielskie jednozgodnie wyraziły zdanie: że oczyszczanie ścieków może mieć miejsce jedynie tylko za pośrednictwem ziemi. Jest to pewnego rodzaju system tak nazwanej *irrygacyi*. Ziemia jest doskonałym odczynnikiem, czego dowodzą źródła ziemne dające wodę w pierwotnej czystości. Pod wpływem działania ziemi ciała organiczne są spalone i przestają być szkodliwemi. Środek ten znalazł zastosowanie w wielu miejscowościach we Francyi; w Niemczech użytym jest w Berlinie i Gdańsku a w Brukseli ma być wkrótce wprowadzonym w wykonanie.

W ostatku rozprawy dotyczyły odosobnienia cierpiących dotkniętych udzielającemi się chorobami. Choroby tego rodzaju są plagą ludzkości, a jedyny środek zapobiegający zależy na zupełnem oddzieleniu dotkniętego od istot jemu podobnych. Anglicy, naród najpraktyczniejszy na kuli ziemskiej, ujął prawodawstwem przedmiot dotyczący odosabniania chorych i wszelkie w tej mierze wykroczenie karanem jest surowo. W Anglii odosobnienie jest obowiązującem nietylko w szpitalach ale i w domach prywatnych i szczególniej w tym kierunku zwróconą jest baczność policyi. Jeden z mówców angielskich nazwiskiem Smith, w ten sposób wyraził się o konieczności zachowania wszelkich warunków hygienicznych: „każda osoba narażająca siebie lub drugich na zarazę, powinna być ukarana kryminalnie; na odwrót przerywająca pracę jedynie tylko dla nierozszerzania choroby jaką została dotkniętą, powinna mieć wynagrodzone wszystkie straty przez siebie z tego powodu poniesione.

W Anglii przepisy z r. 1877 i 1875 ustanowiły kary pieniężne a nawet uwięzienie na osoby przez niedbalstwo lub umysł ograniczony, mogące narazić na szwank zdrowie innych współmieszkańców. Pan Smith daje doskonały przykład miejscowego prawodawstwa. Odwiedza np. ktoś w Londynie jednego ze swych przyjaciół dotkniętego chorobą ospy; przy wyjściu spostrzega, gęstą mgłę na dworze a cierpiąc na romatyzm bierze palto gospoda-

rza wiszące w przedpokoju. Nie mając co lepszego do roboty idzie później na widowisko i oddaje do przechowania palto w miejscu na to przeznaczonem. Jeżeli okoliczności powyższe dojdą do wiadomości władzy, to osoba dopuszczająca się podobnej lekkomyślności, skazaną będzie na zapłacenie stu dwudziestu pięciu franków kary i na trzy miesiące więzienia.

W Anglii więc tej klasycznej ziemi wolności, skrępowano, że się tak wyrazimy, jednostkę dla ogólnego dobra; jest to warunek nieodzowny wszelkich instytucyi mających na celu istotne dobro narodu.

W tej mierze Francya stoi daleko po za Anglią i pan Smith miał prawo wykrzyknąć w pośród ogólnych oklasków: doznaliśmy bolesnego wrażenia widząc Francyą, ową przednią straż nauk, sztuk i literatury zajmującą miejsce ostatnie na polu hygieny.

Wysłannik nareszcie z Brukseli pan Crocq wykazał konieczną potrzebę urządzenia po szpitalach pieców, przeznaczonych do oczyszczania ubrań chorych tak przychodzących jak wychodzących, aby przez gorąco zniszczyć wszystkie ciałka organiczne będące zarodkiem choroby.

Nie wahaliśmy się streścić główne zajęcia kongresu hygienicznego, bo nauka o zdrowiu obchodzi wszystkich; wskazówki zatem udzielone przez stowarzyszenie międzynarodowe, znajdą tem większe zastosowanie u nas, kiedy nawet Francya naganioną została za swoje niedbalstwo, w ochranianiu zdrowia swych mieszkańców od różnych zagrażających mu niebezpieczeństw.

Wedle zatem naukowych badań, gnijące miazmaty wyziewane z ciał chorych i z wszelkiego rodzaju nieczystości, wielką przynoszą szkodę ludzkości. W Warszawie unoszą się one w powietrzu i tworzą tuman jakby mgły szarej nigdy nie niknącej: pływają w wodzie: przechodzień gdzie się zwróci, wszędzie czuje ich obecność, nie są od nich wolne ogrody a tym bardziej podwórza, dość że w Warszawie nie ma kątka w którym możnaby na prawdę odetchnąć swobodniej. Mechaniczne polewanie ulic jak to wszędzie po większych miastach za granicą urządzono, przyniosłoby Warszawie bardzo wiele pożytku. Bez tego kurz was podobno dławi i wciska się nietylko do mieszkań najszczelniej zamkniętych, ale nawet do szaf, komód, pomijając własne płuca, więcej was zapewne od wszystkiego obchodzące.

Ten któryby usunął z Warszawy zbiorowiska nieczystości mieszczące się w każdej kamienicy, urządził dobrze ścieki i mechaniczne polewanie wszystkich ulic, placów i ogrodów, stałby się dobroczyńcą godnym pomnika wdzięczności.

Wątpię aby brak pieniędzy stał tu na przeszkodzie.

(d. c. n.)

Redakcya Książki jubileuszowej

dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej,

J. I. Kraszewskiego.

Powołując się na swój prospekt, wydany w marcu roku bieżącego, i na odezwy, ogłoszone w czasopismach codziennych, ma zaszczyt oznajmić wszystkim wielbicielom talentu i zasług jubilata, że blizkim już jest czas, w którym się druk pomienionej książki rozpocznie, a więc że pożądaną byłoby rzeczą, aby pragnący ją posiadać pośpieszyli ze złożeniem przedpłaty: wydawcy bowiem, drukarze i księgarze, którzy na tę publikacyą pamiątkową nakład bezinteresownie ofiarowali, potrzebują wiedzieć zawczasu, ile egzemplarzy mają odbijać, a w tem zastosować się muszą do ilości przedpłacicieli; gdyż nie chcieliby, drukując nad potrzebę, znacznych już i bez tego kosztów powiększać, a z drugiej strony są w obawie aby nie wydrukowali zamało.

Wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą i redakcye wszystkich pism peryodycznych pośredniczą w przyjmowaniu przedpłaty, wynoszącej w Warszawie za egzemplarz broszurowany rubli trzy, na prowincyi i za granicą rubli trzy i pół; za oprawę w płótno angielskie czarne, dopłaca się kop. 65, w kolorowe zaś rubel jeden.

Książka jubileuszowa, wynosząca od 30 do 35 arkuszy druku w ósemce większej, obejmie: 1) Życiorys Kraszewskiego; 2) Obraz wszechstronny działalności jego literackiej, przedstawiony w studyach nad pracami jego we wszystkich gałęziach piśmiennictwa; 3) Artykuły odosobnione, odnoszące się do rozmaitych epok życia jubilata, i 4) Bibliografią dzieł jego; ozdobioną zaś będzie trzema wizerunkami jubilata i trzema facsimilami jego pisma (z lat młodocianych, męzkich i sędziwych); portretami rodziców i babki jego, która go w dzieciństwie pielęgnowała; oraz widokami miejsc, upamiętnionych urodzeniem jego lub przydłuższym pobytem, jak np. dom przy ulicy Aleksandryi w Warszawie, Romanów, Biała, Dołhe, Omelno, Horodec, Gródek, Hubin, dom w Dreznie i wnętrze gabinetu.

Wraz z tem redakcya „Książki jubileuszowej,“ przypominając swym łaskawym współpracownikom, że d. 1 grudnia roku bieżącego jest terminem ostatnim na składanie artykułów przyobiecanych, oświadcza im, że za uprzedzenie terminu tego byłaby najmocniej obowiązaną; bo jeśli wszystkie prace jednocześnie na dzień oznaczony nadejdą, może komitetowi redakcyjnemu na ich przeczytanie i zredagowanie czasu zabraknąć.

W końcu odwołuje się redakcya po raz wtóry do wszystkich, którzy, czy to przez osobiste czy przez listowne z jubilatem stosunki, bliżej są w jego życie wtajemniczeni, upraszając ich najusilniej o wszelkie materyały i wiadomości, mogące się przyczynić do uzupełnienia biografii jego.

Listy i rękopisma przesyłane być mogą pod adresem Antoniego Pietkiewicza, w redakcyi „Kłosów,“ Nowy-Świat, N. 39.

Redakcya Książki jubileuszowej wszystkie czasopisma krajowe i zagraniczne o powtórzenie tej odezwy uprasza.

SZARADA

ułożona przez

Ludwika Niemojowskiego.

Wiosno tyś błogą, jasną i wielką,
Ty zdroje życia budzisz w wszechświecie;
Gdy się pojawisz ziem karmicielko
Nam *drugie-trzecie!*

Pod ciepłem słońca twego promieni,
Weselej dziatki gwarzą po dworach,
Rosną kwiateczki wśród łąk zieleni,
A *wszystkie* w borach.

Wprawdzie wśród wdzięcznych ozdób ogrodu,
Pierwsze i trzecie tają się zdradnie,
Lecz czyż jest rozkosz coby zawodu
Nie kryła na dnie?

I ciebie także o życia wiosno,
Co snujesz przyszłych wypadków przędzę,
Czczę z całą złudą marzeń radosną,
W sił twych potędze!

Dziewice—kwiatki! ileż ten czaru
Dozna, kto duszę zbudzi uśpioną,
Gdy wasze *wszystkie* wśród uczuć żaru
Rumieńcem płoną.

A ileż szczęścia w owym rumieńcu,
Którym rozkwita niewinne dziecię,
Kiedy nastąpią po ślubnym wieńcu
Drugie i trzecie!

A *pierwsze-trzecie?* Któż myśli o tem,
Któż chce truciznę mieszać z nektarem;
Czyliż przy dzionku dumacie złotym
O mroku szarym?

A więc wzrastajcie zbrojne w cześć świata,
Jak rosną *wszystkie* wśród leśnej kniei,
Nie tracąc nigdy choć miną lata
Błogiej nadziei!

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 26 Сентября 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

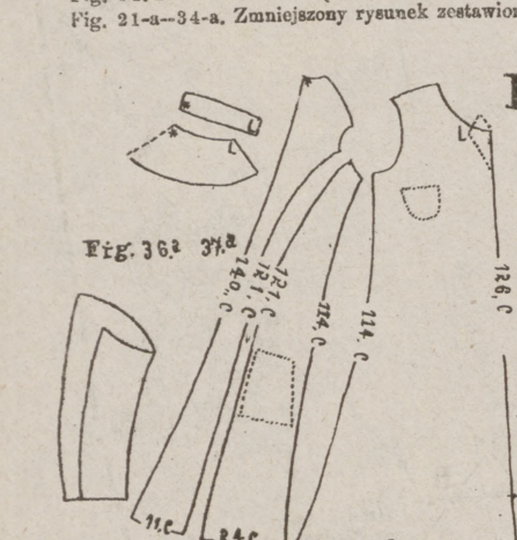
TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 40 i 41.

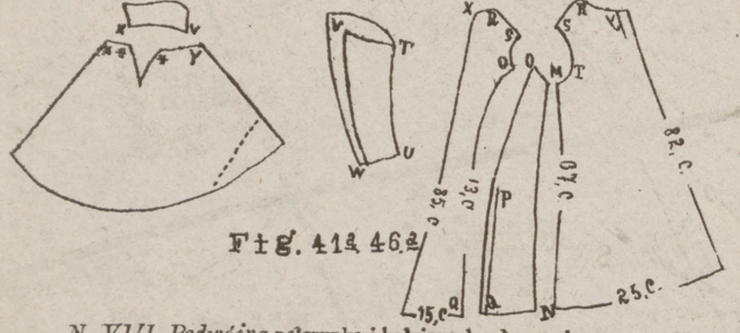
N. VI. Płaszczyk jesienny. Ryc 6 w N. 40 i ryc. 26 w N 41 Tygodnika Mód.

Fig. 31. Przodek (A, B, C, D E, K, :, jedne załamanie formy).
Fig. 32. Połowa pleców wraz ze źwierzchnią częścią rękawa (A, B, C, D, G, H, I, *, jedno załamanie).
Fig. 33. Spodnia część rękawa (C, F, G, H, :). —*—*—*—
Fig. 34. Połowa kołnierza (I, K).
Fig. 21-a—34-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części płaszczyka.



N. VII. Płaszczyk od deszczu z peleryną i kołnierzem z ranwersem. Ryc. 29. w N 40.

Fig. 35. Przodek (L). ×=×=×=
Fig. 36. Połowa peleryny (L, *). × · × · × ·
Fig. 37. Połowa kołnierza (L, *).
Fig. 38. Zmniejszony rysunek wszystkich części płaszczyka przykrojonych podług formy N. II do N 18 i 19 Tyg. Mód, z dodaniem pelerynki i kołnierza fig. 36—37.



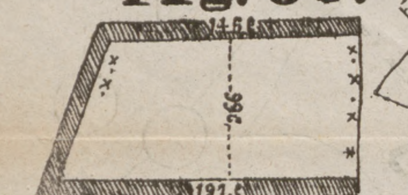
N. VIII. Podwójna pelerynka i kołnierz do płaszczyka ryc. 8 w N 40.

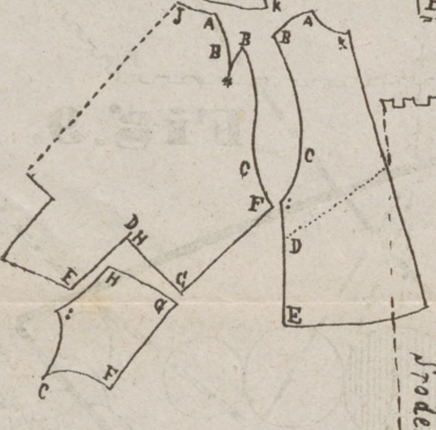
Fig. 39. Połowa dolnej peleryny z oznaczeniem pelerynki zwierzchniej.
Fig. 40. Połowa kołnierza. + + + +

N. IX. Płaszczyk podróżny dla panienki lat 8—10. Ryc. 28 w N 40.

Fig. 41. Przodek (M, R, S, T, Y). = ○ = ○ =
Fig. 42. Boczek (M, N, O, P, Q, jedno załamanie).
Fig. 43. Plecy (O, P, Q, R, S, X, jedno załamanie).
Fig. 44. Rękaw (T, U, X, W).
Fig. 45. Połowa peleryny (X, Y, *, jedno załamanie). — —
Fig. 46. Połowa kołnierza (X, Y). ⊢⊣⊢⊣
Fig. 41-a do 46-a Zmniejszony rysunek zestawionych części płaszczyka Fig. 41—46.

Fig. 56.





N. X. Sukienka dla dziecka rocznego, ryc. 23—24 w N. 40 Tygodnika Mód.

Fig. 47. Połowa plastronu (a, b, .)
Fig. 48. Przodek (a, b, c, d, e, f, .)
Fig. 49. Plecy (c, d, e, f, *, X 1 . 1 do X 3 . 3).
Fig. 50. Rękaw (f, *). ○○○○○○

N. XI. Długi paltocik dla dziecka rocznego, ryc. 24 w N 41 Tyg. Mód.

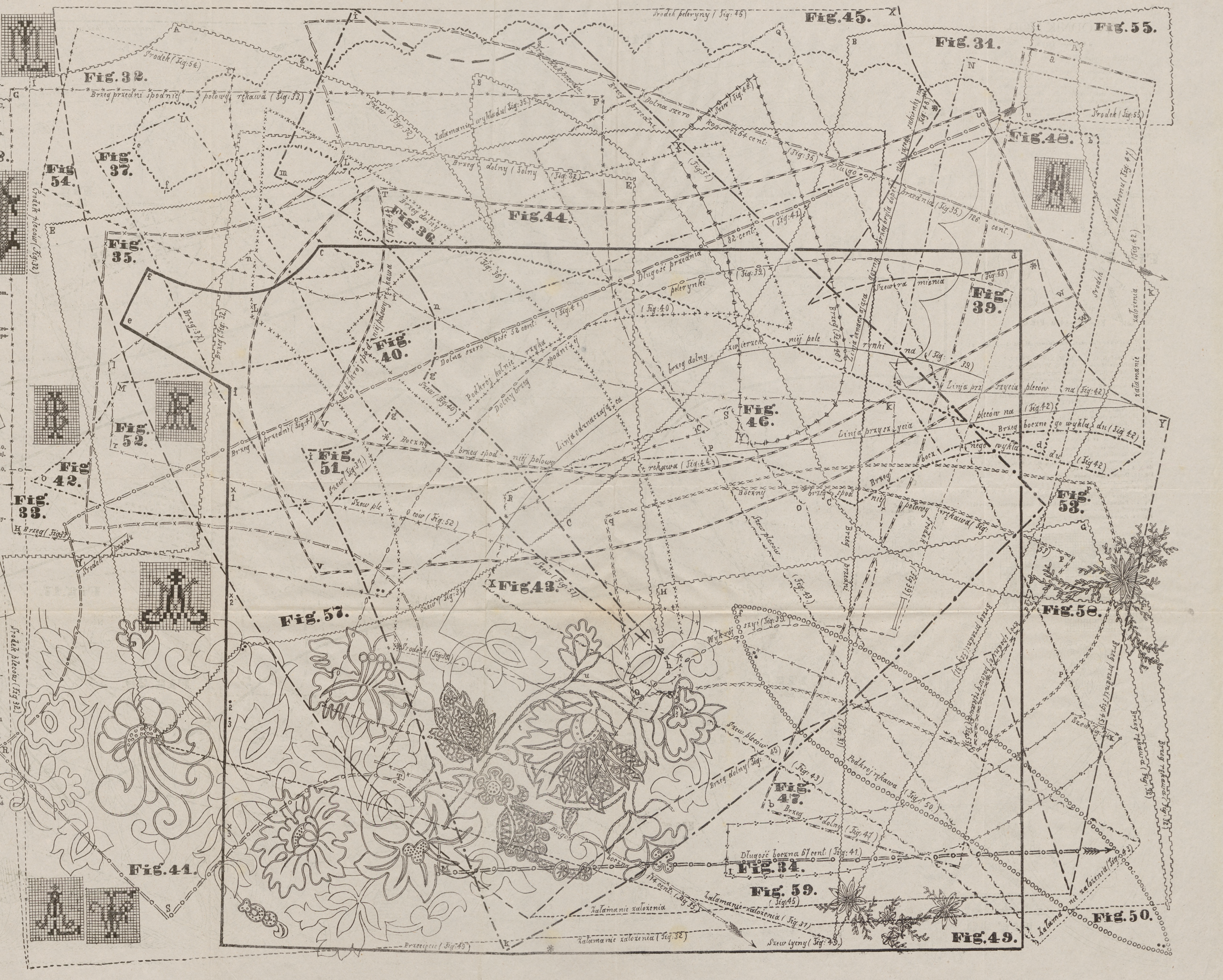
Fig. 51. Przodek i boczek (g, h, i, k, l, m, n, s, t, u).
Fig. 52. Plecy (i, k, l, m, r). —×—×—
Fig. 53. Rękaw (n, o, p, q).
Fig. 54. Połowa marynarskiego kołnierza (r, s).
Fig. 55. Połowa kieszonki (t, u).

N. XII. Draperye do sukni ryc. 1—2 w N 40.

Zmniejszony rysunek i miary draperyi.

Desenie do ryc. 6, 7 i 12 w N 40 Tygodnika.

Fig. 57. Szeroki szlak na poprzeczne strony serwety ryc. 12 w N. 40.
Fig. 58 i 59. Środkowa figura, zaokrąglone narożniki na klapę i część szlaku do ryc. 6 i 7 w N. Tyg. Mód.



TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 40 i 41.

N. I. Stanik z wykrojem kwadratowym krajany razem z zwierzchnim trenem, do ryc, 18 w N. 40 i do ryc. 24 w N 41 Tygodnika Mód.

Miara połowy górnej szerokości stanika 48, w pasie 30 cent.

Fig. 1. Pierwsza część przodu (A, B).

Fig. 2. Druga część przodu (A, B, C, D, I, K, L).

Fig. 3. Boczek (C, D, E, F).

Fig. 4. Pierwsza i druga część pleców razem z trenem (E, F, G, H, I, K).

Fig. 5. Zmniejszony rysunek i miary połowy klina wstawionego w tren.

Fig. 6. Rękaw (L, M).

Fig. 1-a--6-a Zmniejszony rysunek zestawionych części formy Fig. 1—6.

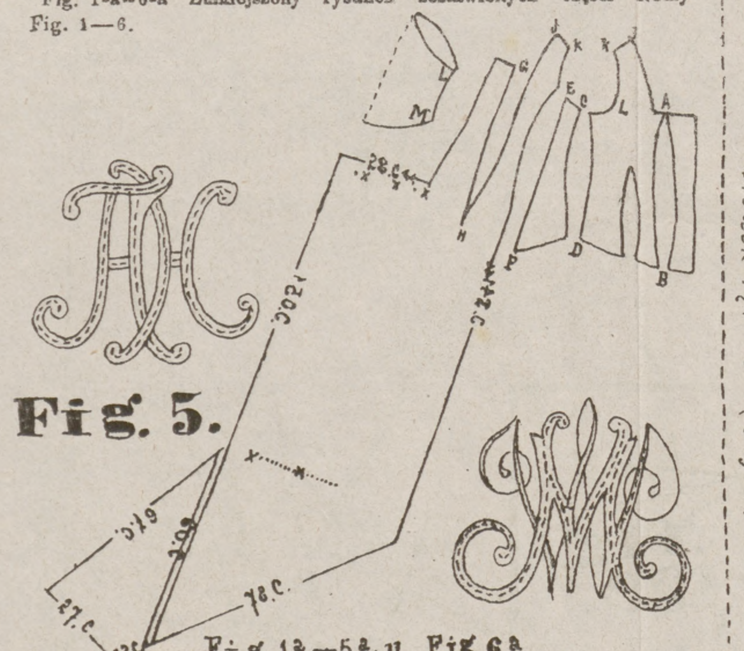


Fig. 1ª—5ª u. Fig. 6ª.

N. II. Sukienka fałdowana dla dziewczynki lat 3—5 Ryc. 21 w N. 41.

Fig. 7. Przód (N, O, P. Q, R, W, X)

Fig. 8. Połowa pleców (N, O, P, Q, V, Y).

Fig. 9. Rękaw (R, S, T, U).

Fig. 10. Połowa marynarskiego kołnierza (V, W).

Fig. 11. Kieszeń (X, Y).

N. III. Sukienka wycięta fałdowana, dla dziewczynki lat 3—4 Ryc. 20 w N 41 Tygodnika Mód.

Fig. 12. Przód (a, b, c, d, *).

Fig. 13. Połowa pleców (a, b, c, d).

Fig. 14. Rękaw (*).

N. IV. Płaszczyk z potrójną pelerynką dla dziewczynki lat 3—5 Ryc. 37—38 w N. 41 Tygodnika Mód.

Fig. 15. Przodek (e, f g, h, v, w, x, *, X 1 . 1).

Fig. 16. Boczek (e, f, g, h, i, k, l, m, X 2 . 2 do X 3 . 3).

Fig. 17. Pierwsza część pleców (i, k, l, m, n, o, p, q, w, X 4 . 4 do X 5 . 5)

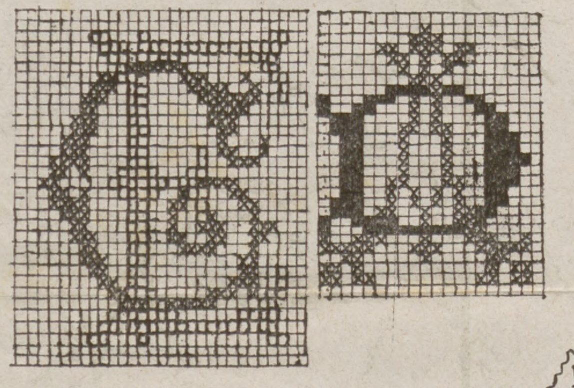
Fig. 18. Druga część pleców (n, o, p, q, r, s, t, u, X 6 . 6 do X 7 . 7).

Fig. 19. Trzecia część pleców (r, s, t, u, v, : X 8 . 8 do X 9 . 9).

Fig. 20. Rękaw (x, y, z).

Fig. 21. Połowa pelerynki dolnej z linjami oznaczającemi pelerynki górnej (: *).

Fig. 22. Połowa kołnierza (:, ⁘).





Desenie do dywanika ryc. 41 w N 41.

Fig. 28. Czwarta część deseniu środkowego.

Fig. 39. Połowa narożnika.

Fig. 30. Połowa środkowej figury szlaku.

N. V. Sukienka wycięta z patkami dodanemi przy boczkach, dziewczynki 2—4. Ryc 19 w N. 41,

Fig. 23. Połowa plastronu (1, 2).

Fig. 24. Przodek (1, 2, 3, 4, 5, 8, 9).

Fig. 25. Boczek z patką u dołu (5, 4, 5, 6, 7, *).

Fig. 26. Połowa pleców (6, 7, 8, 9).

Fig. 27. Rękaw (9).

